

Czas zamętu

Z prof. Grzegorzem W. Kołodko z Akademii Leona Koźmińskiego, byłym wicepremierem i ministrem finansów (1994-97 i 2002-03), ekonomistą i autorem bestsellera „Wędrujący świat”, rozmawiają Jakub Rzekanowski i Piotr Skura

Mamy kryzys. Ale jaki to kryzys – wyłącznie rynków finansowych, banków, giełd czy też krach modelu kapitalizmu zwanego neoliberalizmem?

- Z pewnością to drugie, przy czym nie wszyscy jeszcze to dostrzegają. Na powierzchni zjawisk jest to kryzys finansowy, który przelał się już na sferę realną gospodarki, gdzie się produkuje, magazynuje, transportuje, wymienia, zatrudnia, zwalnia, eksportuje, importuje. Przenosi się także na sferę polityczną. Coraz bardziej będzie się poszukiwało winnych – ktoś przecież powinien ponieść odpowiedzialność za to, co się stało. I przeniesie się także na sferę intelektualną, naukową. Szukać bowiem będzie się innych opcji, odmiennych koncepcji sterowania procesami rozwoju społeczno-gospodarczego, skoro ta – na neoliberalną modłę – ewidentnie się nie sprawdziła.

Co zawiodło?

- Neoliberalizm, myląc cele ze środkami, uprzedmiotowił człowieka, kosztem większości sprzyjał poprawie sytuacji materialnej wąskich elit gospodarczych i finansowych, które i tak nieźle się wysforowały do przodu w dziejowym procesie rozwojowym, spowodował oderwanie się sektora finansowego od realnej sfery gospodarki. Neoliberalizm wyniósł pieniądz na ołtarz, a człowieka uprzedmiotowił. Obecna sytuacja jest dużo poważniejszą sprawą niż sam tylko kryzys gospodarczy i finansowy. To jest czas zamętu, z którego długo będzie się wyłaniało coś nowego. Usłyszymy znowu takie słowa, jak „nowy paradygmat”, „nowa teoria”, „inne wartości”. Tego się nie da zakłajstrować plastrami przykrywającymi przyszcze na wstrętnej gębie neoliberalnego kapitalizmu. Trzeba sięgnąć do przyczyn, do korzeni, które doprowadziły do tak rozległych zjawisk kryzysowych.

Często obecny kryzys przyrównuje się do kryzysu przełomu lat 20. i 30. Czy rzeczywiście ma on dziś taką skalę jak tamte wydarzenia?

- To nie jest uprawomocnione porównanie. Tamten kryzys był istotnie odmienny, wtedy gospodarka amerykańska była zupełnie inna. Około 30 proc. zatrudnionych pracowało w rolnictwie. Mało kto sobie uzmysławia fakt, że wydajność pracy, a co za tym idzie poziom życia, był wówczas w USA mniejszy niż obecnie w Polsce. To był inny świat. Wtedy produkcja w Stanach Zjednoczonych spadła w sumie o jakieś 25 proc., a bezrobocie przekroczyło 25 proc. Na ulicach i alejach Nowego Jorku – tam gdzie dziś widać szyldy trzęsących się w posadach najpotężniejszych banków – stały długie kolejki za miską zupy. Tu nie ma analogii. Jedyne podobieństwo to czas zamętu; wtedy i teraz.

Na początku tamtego kryzysu nikt nie wiedział, co się z niego wyłoni. Teraz też tego nie wiemy. A wyłoniły się wtedy na gruncie amerykańskim wspaniałe rzeczy. Bo gdzie indziej – paskudne. W Europie – niemiecki nazizm, włoski i hiszpański faszyzm, w Japonii – militarizm. Ale w USA wyłonił się keynesizm, nowa, wspaniała teoria ekonomiczna, która

była przez dyżurnych publicystów i ówczesnych odpowiedników analityków giełdowych oraz pseudouczonych ekonomistów wyszydzana i wyśmiewana. Wyłonił się także twórczy nurt polityczny – New Deal – Nowy Ład, który wdrażał mąż stanu, jakim okazał się prezydent Franklin Delano Roosevelt. Nie sądzę, żeby z obecnego zamętu wyrosła teoria tak potężna, że mogłaby kształtować rzeczywistość przez kolejne dekady i pokolenia, jak keynesizm. Niemniej będą wyłaniały się rzeczy ważne, których dzisiaj nie potrafimy nazwać...

Tylko, że pół wieku od narodzin keynesizmu zaczął dominować neoliberalizm. Napisał Pan w „Wędrującym świecie” o „marnej spuściźnie neoliberalizmu”. Co było najgorsze w tej polityce? Warto to podkreślić, bo neoliberalowie wmówili ludziom, że oni nie realizują żadnej wizji ideologicznej, ale wcielają w życie obiektywne prawa ekonomii.

- W otumanianiu społeczeństwa mało kto jest tak skuteczny jak neoliberalizm, który dosyć sprawnie narzuca interesy wąskich, uprzywilejowanych materialnie i politycznie grup jako interes ogólny. W neoliberalnych czasach, które można sprowadzić w USA do ostatnich 28 lat – mówię o prezydenturach Reagana, Busha ojca, Clintona, który choć chciał, nie potrafił sobie z neoliberalizmem poradzić, i Busha syna – w czasach, gdy polityką kierowali Republikanie, dochody klasy średniej rosły dwukrotnie wolniej niż wtedy, gdy u sterów byli Demokraci. A dochody ludności biedniejszej rosły sześciokrotnie wolniej niż w czasach rządów Demokratów. Dowodzi to ewidentnie faktu, że zwiększające się rozwarstwienie społeczeństwa amerykańskiego nie jest skutkiem żywiołowego mechanizmu rynkowego, tylko następstwem celowej polityki realizowanej w myśl pewnych wartości. A te wartości w neoliberalizmie są proste – żeby bogaci wzbogacali się kosztem średniaków i biedaków, wmawiając im poprzez zabiegi marketingowe, że to jest na ich korzyść.

Skupmy się na sytuacji Polski, która od ponad 19 lat jest laboratorium neoliberalnym. Były okresy, gdy ta polityka wyglądała nieco inaczej. Ale generalnie prawie wszystkie rządy realizowały klasyczny neoliberalizm. Jak by Pan ocenił okres transformacji ustrojowej?

- Nie jest prawdą, że przez cały ten okres dominowało myślenie neoliberalne. 20 lat mijające od Okrągłego Stołu dzieli się na mniej więcej pięć czteroletnich okresów, które w dużym stopniu korespondują z cyklami politycznymi, bo tak akurat działa polska demokracja.

Na początku mieliśmy „szok bez terapii” oparty o próbę zaszczepiania doktryny neoliberalnej na polskim gruncie w postaci tzw. planu Sachsa-Balcerowicza. W dużym stopniu opierało się to na tzw. Waszyngtońskim Konsensusie wypracowanym dla zupełnie innych warunków, bo był on pierwotnie adresowany tylko do pogrążonych w strukturalnym kryzysie państw Ameryki Łacińskiej, które nie potrafiły uporać się ze swoim zadłużeniem. Wobec tego Waszyngton zaproponował im, aby sprywatyzować jak najwięcej i jak najszybciej – co w sposób oczywisty oznacza wyprzedaż jak najtańszą – by zliberalizować tak wiele, jak się da i prowadzić twardą politykę finansową. To już miało jakoby wystarczyć, aby wejść na ścieżkę szybkiego i zrównoważonego wzrostu. W sposób oczywisty – poprzez niedocenianie instytucjonalnego i społecznego aspektu rozwoju gospodarczego – ta koncepcja nie zadziałała nawet w Ameryce Łacińskiej, a cóż dopiero w jakże strukturalnie i kulturowo odmiennych krajach posocjalistycznej transformacji. Wobec tego zapłaciliśmy wysoką cenę za „szok bez terapii”, ponosząc dużo większe koszty niż te nieuniknione i czerpiąc o wiele mniejsze korzyści, niż było to możliwe.

A potem?

- Potem nastąpiła istotna zmiana w polityce gospodarczej. Inaczej były ustawione wartości, rozsądniej budowano instytucje, a więc nowe reguły gry rynkowej, odmiennie realizowana była polityka gospodarcza. Szybko odwrócono niekorzystne tendencje i to, co miało rosnąć,

rosło, a to, co miało spadać, spadało. Produkcja rosła coraz szybciej, a ceny coraz wolniej. Po czterech latach wahadło polityczne wychyliło się jednak w drugą stronę i powrócił nadwiślański neoliberalizm, na dodatek jeszcze okraszony prawicowym populizmem. Wskutek „schładzania bez sensu” stała się rzecz straszna, bo oto sprowadzono tempo wzrostu PKB wynoszące 7,5 proc. na przedwiośniu 1997 r., z którym to tempem odchodząc pierwszy raz ze stanowiska wicepremiera zostawiałem gospodarke po zrealizowaniu „Strategii dla Polski”, do 0,2 proc. w IV kwartale 2001 r. I to wszystko w warunkach postępu w zakresie prywatyzacji, liberalizacji, integracji.

Jak to możliwe, że gospodarka tak wyhamowała?

- Neoliberalizm spowodował nie tylko nadmierne koszty i marne efekty podczas „szoku bez terapii”, ale także utratę impetu rozwojowego na przełomie dekad. Tak się dzieje, gdy złe zdefiniowane są cele gospodarcze, gdy żywioł rynkowy ma zastąpić świadomą strategię rozwoju, gdy opiera się politykę na fałszywych założeniach teoretycznych. A tak właśnie było w latach 1998-2001. Potem znowu wahadło polityczne wychyliło się w przeciwną stronę i w latach 2002-05 troszczono się o bardziej zrównoważony nie tylko finansowo, ale i społecznie rozwój. To mi przyświecało jako wicepremierowi w latach 2002-03, kiedy to na tyle, na ile się dało w ówczesnych warunkach politycznych, wdrazaliśmy Program Naprawy Finansów Rzeczypospolitej. Gospodarka powróciła na ścieżkę wzrostu gospodarczego i już w I kwartale 2004 roku PKB zwiększył się znowu o 7 proc., a bezrobocie zaczęło ostro spadać.

A jak można zdefiniować obecny okres?

- Teraz mamy fazę piątą, która jest nieco inna. Polityka nadal jest pod silnym wpływem neoliberalizmu ze względu na kluczową rolę Platformy Obywatelskiej. Ale jesteśmy też członkiem Unii Europejskiej skąd, paradoksalnie, dopływa więcej impulsów społecznej gospodarki rynkowej niż z kręgów warszawskiego establishmentu. Teraz gospodarujemy jednakże już w innym układzie politycznym i instytucjonalnym. Duża część zdynamizowania polskiej gospodarki w minionych czterech latach bierze się z naszego członkostwa w UE. Ale zasadnicze pytanie, dlaczego w Polsce nie udało się w ciągu tych bez mała 20 lat wprowadzić społecznej gospodarki rynkowej, pozostaje. Dlaczego ona nie wzięła skutecznie góry nad neoliberalizmem?

Właśnie, dlaczego?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby wprowadzić społeczną gospodarkę rynkową, trzeba mieć nie cztery lata, gdyż i czternastu mogłoby nie starczyć, ale, być może, starczyłoby czterdzieści. Tak tworzone były społeczne gospodarki rynkowe w państwach nordyckich. Wobec tego lata 1994-97 i 2002-03, pomimo wielu osiągnięć, to za krótki okres na zwieńczenie sukcesem historycznego w istocie zadania. Po drugie, transformacja do gospodarki rynkowej odbywa się w czasie globalizacji, czyli liberalizacji i integracji dotychczas funkcjonujących w odosobnieniu rynków w jeden współzależny rynek światowy. A współczesna faza globalizacji jest pod olbrzymim wpływem ideologii i doktryny neoliberalnej ze względu na pozycję USA i Wielką Brytanię, kolebki neoliberalizmu. Kraje te mogły narzucać przyświecające im wartości i cele, a także wymuszać korzystną dla siebie politykę w innych częściach świata, w tym przez jakiś czas także w Polsce. Teraz też daje się to zauważyć współcześnie. W tych warunkach w żadnym kraju posocjalistycznej transformacji nie udało się wdroyć skutecznie społecznej gospodarki rynkowej. Neoliberalizmowi udało się podporządkować sobie część świata, no bo ani Chin, ani Indii, ani też Rosji podczas prezydentury Putina już nie, podobnie jak i Ameryki Łacińskiej w obecnej dekadzie.

W „Wędrującym świecie” dowodzi Pan, że neoliberalizm upada i zostawia marną spuściznę.

- Tak, a teraz jeszcze na dodatek kryzys amerykański jest tego jaskrawym i ewidentnym przejawem. Ale to nie jest koniec neoliberalizmu. On nie jest jeszcze martwy, ale już bez wątpienia upadający. Ostatnim gwoździem do jego trumny powinna być opcja pozytywna. Bo skoro nie tak, to jak? Przecież nie może go zastąpić radziecki socjalizm, latynoski populizm czy chiński kapitalizm państwowy. A więc co? W "Wędrującym świecie" proponuję tzw. nowy pragmatyzm.

Czy będzie jednak w Polsce cokolwiek do uratowania? Bo skala dewastacji wywołanej przez neoliberalizm jest ogromna.

- Taka ocena to gruba przesada i prowokacja. Jednak w ciągu 19 lat transformacji PKB zwiększył się o około 75 proc.

To prawda, ale kto na tym wzroście skorzystał? Niewielka część społeczeństwa.

- Większość społeczeństwa zyskała na wzroście PKB, choć w sposób nierównomierny. Nie można uogólniać – były okresy lepsze i gorsze. Na 75 proc. wzrostu osiągniętego podczas minionych 19 lat zasadnicza część jest rezultatem „Strategii dla Polski”, Programu Naprawy Finansów Rzeczypospolitej, no i ostatnich lat przynależności do UE. A w czasie "szoku bez terapii" i "schładzania bez sensu" w sumie wzrost wyniósł zero. I tu macie Panowie rację. Gdyby do tego sprowadzić transformację, to nieliczni dorobili się wiele, a liczni dorobili się niewiele albo nawet stracili, bo i takie mamy w Polsce grupy zawodowe.

Szacunki pokazują, że gdyby cały czas opierała politykę gospodarczą na poprawnym teoretycznie rozumowaniu i właściwym nakreśleniu celów, to moglibyśmy mieć dziś poziom produkcji o jakieś 50 proc. większy, niż jest. Jeżeli według parytetu siły nabywczej PKB na mieszkańca w 2008 r. sięga 17 tys. dolarów – dla porównania dodajmy, że na świecie jest to przeciętnie 10 tys. dolarów, w bogatej części UE dwa razy więcej, a w prawie USA trzy razy więcej – to mogłoby to być już 25 tys. dolarów. Czyli tyle, ile jest w najbogatszym kraju posocjalistycznym, małej Słowenii, czy w biedniejszych krajach starej UE, w Portugalii czy Grecji. To, że dziś PKB wynosi nie 25 tys. dolarów, a 17 tys., jest skutkiem nadwiślańskiego neoliberalizmu, to zasługa wiernych mu polityków i jego medialnych apologetów.

Ten nadwiślański neoliberalizm trzyma się nieźle. Gdy upadnie w USA, w Polsce będzie trwał nadal. To widać choćby po kierunku reform realizowanych przez rząd Donalda Tuska. A mają one wspólny mianownik – ograniczanie sektora publicznego choćby w służbie zdrowia i oświacie, liberalizacja, deregulacja. Jaki będzie tego skutek?

- Polska gospodarka będzie znowu zwalniała. Już ostro zwalnia. Można mieć wrażenie – *déjà vu* – jakbyśmy to wszystko już raz widzieli... Mam nadzieję, że tym razem nie sprowadzi się gospodarki do zerowego wzrostu, do stagnacji, jak "udało się" to neoliberalom w końcu 2001 roku. Jeszcze w I kwartale 2007 r. tempo wzrostu wynosiło 7,4 proc., a bezrobocie ostro spadało. W I kwartale nowego roku tempo będzie poniżej 4 proc., a bezrobocie będzie znowu rosło. Polityka, po części neoliberalna, mocno hamuje gospodarkę. Malejącemu tempu wzrostu gospodarczego towarzyszyć będzie fala upadłości przedsiębiorstw, masowe zwolnienia, narastające bezrobocie i znowu poszerzające się obszary wykluczenia społecznego. Nasilać będą się trudności budżetowe i trzeba będzie zrewidować budżet w przyszłym roku, czego od wielu lat nie robiliśmy. Na tym tle będzie narastała emigracja, a osłabi się chęć powrotu do ojczyzny tych, którzy z niej wyjechali na fali poprzedniego spowolnienia. To dramat. Tak być nie musi, ale tak będzie, skoro koncepcje neoliberalne są forsowane, zwłaszcza przez premiera i ministra finansów.

Czy Pana zdaniem prawdziwe są prognozy, że w przyszłym roku może dodatkowo zabraknąć w budżecie nawet 30-40 mld zł?

- To zależy od tego, jaka będzie ostatecznie dynamika gospodarcza. Będzie ona mniejsza niż zakłada rząd, który teraz przewiduje już tylko przyrost PKB o 3,7 proc., choć jeszcze parę tygodni temu upierał się przy wskaźniku 4,8. NBP prognozuje wzrost zaledwie o 2,8 proc. To okaże się bliższe rzeczywistości niż założenia rządu. Szkoda, bo mogłoby być cały czas powyżej 5 proc., ale nie przy takiej konserwatywnej polityce polegającej na irracjonalnym ograniczaniu popytu w sytuacji, kiedy trzeba go instrumentami fiskalnymi i pieniężnymi zwiększać! Jest jasne, że jeśli będzie niższy poziom aktywności gospodarczej, to również niższy będzie poziom dochodów budżetu. Oczywiście też jest, że skala niedoborów środków będzie większa niż ta, którą zakłada rząd. I rząd o tym wie. Dlaczego więc się do tego nie przyznaje? Cóż, przyznanie się już teraz byłoby przyznaniem się do marności polityki, którą się realizuje, a potem zwałać będzie można odpowiedzialność za własną nieudolność na kryzys. Tak będzie.

Porozmawiajmy więc o optymalnym modelu polityki gospodarczej. W „Wędrującym świecie” pisze Pan o teorii koincydencji, o „złotej sekwencji”, pewnej hierarchii celów gospodarczych. Jak to mogłoby wyglądać?

- Długofalowa strategia rozwoju gospodarczego musi opierać się na czterech filarach: szybki wzrost, sprawiedliwy podział, korzystna integracja, skuteczne państwo. Nie powinno się dopuścić do wyhamowania tempa wzrostu gospodarczego, a jeśli można, to należy przyspieszyć je w sposób nieinflacyjny. Taki potencjał w polskiej gospodarce istnieje. Dowiedliśmy tego przecież w praktyce.

Podział dochodów musi być bardziej sprawiedliwy. Trzeba przestać tracić czas na brednie o podatku liniowym, który jest złym instrumentem tak ze względu na wpływ na wzrost gospodarczy, jak i fatalnym pomysłem z punktu widzenia kształtowania prawidłowych relacji podziału dochodu. Ale o sprawiedliwość społeczną zabiegać należy przede wszystkim przez odpowiednią politykę wydatków. Zwiększone winny być wydatki na kształcenie młodego pokolenia, co powinno być finansowane groszem publicznym, a więc pieniądzem z podatków. Dofinansowania wymaga także ochrona zdrowia, która powinna być dostępna w jak najszerszym zakresie.

Jeśli chodzi o korzystną integrację, to mam na myśli nie tylko integrację w ramach UE, co dosyć dobrze rozgrywamy, ale również szerszy wymiar – integrację Polski z układem światowym. Funkcjonujemy w warunkach globalizacji, a staliśmy się peryferią globalnej gospodarki. Handlowo jesteśmy zaściankiem, marginesem gospodarki światowej. W wyniku dewiacji neoliberalnej odwróciliśmy się od wcześniej dobrze opanowanych rynków nie tylko państw dawnego ZSRR, ale też Afryki, Bliskiego Wschodu, Azji Południowej. To wszystko wymaga skutecznego państwa. Państwo musi dostarczać odpowiednich usług i dóbr publicznych, które są potrzebne ludziom do życia, społeczeństwu do rozkwitu i gospodarce do rozwoju. A to kosztuje i, podobnie jak towary wysokiej jakości, bywa drogie. Trzeba to robić metodami racjonalnymi, a więc oszczędzać grosz publiczny, ale nie wylewać dziecka z kąpielą, jak to proponowali neoliberalowie w ramach dogmatycznego cięcia wydatków budżetowych czy pravicowi populiści pod hasłem „taniego państwa”. Tani to może być barszcz, ale nie państwo.

Na krótką zaś metę należałoby pobudzać koniunkturę. Niestety, tego się nie robi w dostatecznym stopniu. Należało zrealizować deficyt budżetowy na poziomie zakładanym w tym roku, a nie cieszyć się, że wyszło mniej. Należało wydać środki, które można było wydać. Przede wszystkim na inwestycje strukturalne, budownictwo drogowe, ochronę środowiska, a być może także na obiekty związane z przygotowaniem do mistrzostw Europy

w piłce nożnej Euro 2012. Trzeba było zwiększyć alokację środków budżetowych dla samorządów szczebla wojewódzkiego i gminnego na współfinansowanie wybranych projektów w sferze ochrony środowiska, co nie tylko poprawiłoby jego stan, ale także dało efekty mnożnikowe i ożywiło koniunkturę.

Trzeba zwiększyć alokacje budżetowe i przeznaczyć część środków publicznych na dokapitalizowanie systemu finansowego, a zwłaszcza banków państwowych mających duże znaczenie z punktu widzenia kredytowanie małych i średnich przedsiębiorstw – PKO BP, BGK, BOŚ. Powinniśmy też zasadniczo obniżyć stopy procentowe. Nie o symboliczne – chyba tylko dla świętego spokoju? – 0,25 punktu procentowego. Trzeba to było zrobić już dużo wcześniej i radykalnie, przynajmniej o 1,5 punktu procentowego. Teraz tym bardziej należy je ciąć – i to nie mniej niż o 2 punkty, choć nie uda się już zapobiec ostremu spadkowi tempa wzrostu.

Można i trzeba budować przyczółki społecznej gospodarki rynkowej, ożywiając koniunkturę, poprawiając rentowność przedsiębiorstw oraz warunki życia polskich rodzin, ale pod warunkiem oparcia strategii zrównoważonego rozwoju na nowym pragmatyzmie. Muszą jednak pojawić się polityczne siły – partie, przywódcy, struktury, zaplecze – chcące i potrafiące realizować taką strategię rozwojową.

Chcemy spytać Pana o inwestycje w edukację. To ważna sprawa dla naszych Czytelników, którzy są nauczycielami. Chodzi o podkreślenie, że jakość edukacji nie jest oderwana od polityki gospodarczej, od tego ile będzie pieniędzy w budżecie. Jak powinny wyglądać te inwestycje?

- Okres zwrotu inwestycji w edukację wynosi 7-9 lat. Dlatego kiepsko układa się zbieżność tego cyklu z cyklami politycznymi, które są zazwyczaj krótsze. Aby więc mówić o inwestycjach w edukację, trzeba się wznieść ponad krótkookresowe myślenie i podziały partyjne uwikłane w jakieś nieustannie zbliżające się wybory. Nie zawsze to jest właściwie rozumiane i doceniane. Wbrew doktrynie neoliberalnej należy podnieść poziom wydatków publicznych na oświatę, a te zawsze finansowane są z podatków. Bo niby kosztem czego? Zwiększenia długu publicznego? Nie. Polska jest dostatecznie zadłużonym krajem i należy wydawać publiczne pieniądze w ramach wypracowywanych dochodów, a więc z podatków.

Jestem zwolennikiem poglądu, że szkolnictwo podstawowe i średnie, w tym zawodowe, powinno być w pełni finansowane ze środków publicznych. I to na takim poziomie, który będzie przyciągał do kadry nauczycielskiej ludzi o ponadprzeciętnych zdolnościach. Tych ludzi trzeba po prostu nobilitować. Nie tylko werbalnie, mówiąc, jakie to jest ważne, ale też materialnie. Dlatego dochody nauczycieli powinny rosnać w tempie ponadprzeciętnym. Społeczeństwu należało zadać pytanie: czy w obecnej sytuacji obniżać podatki do 18 i 32 proc., czy może środki, które w ten sposób mają trafić do kieszeni osób relatywnie lepiej uposażonych, nie powinny pozostać w gestii państwa i w lwiej części być przeznaczone na dofinansowanie edukacji oraz przyciągnięcie do zawodu nauczycielskiego jeszcze lepszych fachowców? Niestety, takiego myślenia brakuje.

Ostatnie pytanie, Panie profesorze – nie obawia się Pan, że neoliberalizm jednak w jakiś sposób przepoczwarzy się, przekształci i znowu zatriumfuje?

- Nie zatriumfuje, ale uważać trzeba, bo to prawda, że próbuje się przepoczwarzać. Widać to w kręgach politycznych, w mediach, wśród części środowiska nauk społecznych, zwłaszcza ekonomistów. Mając jednak lepszą, postępową wizję i koncepcję, można dać sobie z tym zagrożeniem radę. Trzeba tylko – bagatela! – wiedzieć, co i jak robić.

Pisze Pan o tym w "Wędrującym świecie".

Tak, najdłuższy, X rozdział dotyczy przyszłości. Bo to przecież i najciekawsze, i najważniejsze. Piszę tam o dwunastu Wielkich Sprawach Przyszłości. Dużymi literami – WSP. Pewne procesy są nie do uniknięcia, inne mogą się potoczyć albo i nie. Trzeba wiedzieć, od czego to będzie zależeć. Z tego czasu zamętu wyłaniać się będą nowe wartości. Przesuwać się będziemy w tych wartościach od „mieć” do „być”. To już widać i czuć. Pod te wartości będą organizowane instytucje, a więc reguły gry rynkowej, które nie będą już skrojone na modłę neoliberalną, która uczyniła z gospodarki rynkowej kapitalizm kasyna, kapitalizm spekulantów w miejsce zdrowego kapitalizmu przedsiębiorców. Wymaga to dość gruntownej przebudowy zasad gry rynkowej. Żyjemy w okresie przełomu, kaskadowych zmian, z którego będziemy przechodzić przez kilka-, kilkanaście lat. Wyłoni się z niego świat inny, jakościowo odmienny od tego, który doprowadził do obecnego kryzysu. Będzie to świat nadziei, ale także pragmatyzmu, dzięki czemu trwał będzie postęp cywilizowany i rozwój całej gospodarki światowej. I my, Polacy, też możemy znaleźć sobie dobre w niej dobre miejsce.

Dziękuję za rozmowę.

Słowniczek:

Keynesizm – szkoła XX-stowiecznej makroekonomii, której autorem był John Maynard Keynes. Keynesizm opowiadał się m.in. za działaniami interwencjonistycznymi państwa. Postulował, by w momentach kryzysów pobudzać popyt przez obniżanie stóp procentowych, kosztów inwestycji, stosowanie ulg inwestycyjnych, pomoc dla upadających przedsiębiorstw oraz przez bezpośrednie pompowanie pieniędzy na rynek przez państwo.

New Deal – program reform prezydenta Franklina D. Roosevelta przeciwdziałających Wielkiemu Kryzysowi. Opierał się głównie na państwowym interwencjonizmie – zasiłkach dla potrzebujących, robotach publicznych, przepisach znacząco regulujących funkcjonowanie gospodarki i wolnego rynku, programach stymulujących powstawanie nowych miejsc pracy.

Konsensus waszyngtoński – opracowany pod koniec lat 80. w USA plan wyjścia z kryzysu dla krajów Ameryki Łacińskiej, zastosowany także w Polsce, gdzie stał się punktem wyjścia „terapii szokowej” Sachsa i Balcerowicza. Konsensus zakładał m.in. dyscyplinę finansową państwa, liberalizację rynków finansowych, handlu, znoszenie barier w przepływie inwestycji, prywatyzację i deregulację rynków. Wszystkie projekty wyjścia z kryzysu oferowane poszczególnym państwom przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy są w dużej mierze oparte na założenia konsensusu waszyngtońskiego.

Strategia dla Polski – kompleksowy program reform strukturalnych, budowy instytucji i zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego opracowany przez prof. Kołodko, wicepremiera i ministra finansów Polski, i realizowany w latach 1994-97. Na "Strategię..." składało się 14 tzw. programów węzłowych. W wyniku realizacji "Strategii..." PKB na mieszkańca zwiększył się o 28 proc., inflacja spadła o 2/3, a bezrobocie o 1/3, a Polska została przyjęta (w 1996 r.) do Organizacji Rozwoju i Współpracy Gospodarczej OECD.